

To nie Majdan, to Vidovdan

7 lipca 2025

W Serbii znów eksplodowały protesty przeciwko rządzącemu kartelowi prezydenta.



Ognisko protestu rozbłysło w bardzo symbolicznym momencie – 28 czerwca, czyli w Dzień Świętego Wita (Vidovdan), który jest swego rodzaju ucieleśnieniem narodowego mitu, zbiorowej żałoby i romantycznego oporu, a tym samym datą skłaniającą (przynajmniej teoretycznie) do politycznej i społecznej refleksji.

Vidovdan, czyli 28 czerwca, to bodaj najbardziej nasycona symboliką data w serbskiej historii. Tego dnia w 1389 roku doszło do słynnej bitwy na Kosowym Polu – starcia między wojskami księcia Lazara a armią osmańską dowodzoną przez sułtana Murata. Choć militarnie biorąc wynik pozostał nierozstrzygnięty, a obie strony poniosły gigantyczne straty, w serbskiej mitologii narodowej bitwa ta stała się jednym z fundamentalnych elementów tożsamości opartej na bezwzględnym oporze, męczeństwie oraz poświęceń w imię obrony godności. Księżę Lazar – według legendy – miał wówczas wybrać „królestwo niebieskie” zamiast ziemskiego, a naród potraktował jego wybór jako fundamentalny moralny i polityczny kompas. Nie można przy tej okazji nie zauważyć, że jest to rodzaj światopoglądowej matrycy, który z pewnością nieźle rezonuje nad Wisłą. Vidovdan nie upamiętnia bowiem zwycięstwa, lecz klęskę o głębokim wymiarze oraz cierpienie uświęcone moralną i dziejową koniecznością.

Poza tym 28 czerwca funkcjonuje w historii i kulturze Serbii jako data przełomowa (i często tragiczna) również w odniesieniu do innych wydarzeń. Dość wspomnieć zamach w Sarajewie na Franciszka Ferdynanda w 1914 roku, który

„wywołał” I wojnę światową, czy przemówienie Slobodana Miloševicia na Kosowym Polu w 1989 roku, które z kolei zapoczątkowało ważny zwrot polityczny w latach 1990. W kulturze i liturgii prawosławnej dzień ten zlał się z kultem św. Wita i funkcjonuje jako święto religijne i polityczne – pełne patosu, żałoby i dumy.

Właśnie ten ładunek historyczno-emocjonalny – łączący religię, mit, politykę i ciężar kolektywnej, narodowej, historycznej traumy – wydaje się zarówno wielką siłą jak i słabością nowego masowego ruchu protestu w Serbii.

Plac Slavija w centrum Belgradu

W stolicy Serbii studenci wzniesli barykady w 24 punktach, a protesty objęły łącznie 18 miast, od Suboticy, w północnej części kraju, po położony na południowym wschodzie Zaječar. Blokowano główne skrzyżowania, węzły komunikacyjne i autostrady – używając do tego kontenerów na śmieci i znaków drogowych. Protestujący zablokowali m.in. centralny plac Slavija w Belgradzie oraz okoliczne ulice. Demonstranci sformułowali też coś na kształt ultimatum wobec rządu, dając władzom czas do 30 czerwca, do godz. 21:00.

Na ulicach pojawiło się według danych serbskiego MSW 36 tysięcy osób – głównie studentów i sympatyków opozycji; dodajmy – są to dane ewidentnie zaniżone. Demonstracje przerodziły się miejscami w otwarte starcia z policją – protestujący rzucali kamieniami, racami i fajerwerkami w funkcjonariuszy, skandując antyrządowe hasła. Policja odpowiedziała używając pałek, armatek wodnych i gazu. Zatrzymano 77 osób, a według późniejszych danych – 38 z nich trafiło do aresztu. 22 demonstrantów zostało rannych, w tym kilkoro odniosło obrażenia wymagające pilnej hospitalizacji. Wśród sił porządkowych 48 funkcjonariuszy zostało rannych.

W ciągu niespełna 24 godzin po proteście w centrum Belgradu, 29 czerwca, demonstracje i blokady rozlały się na kolejne

dzielnice i miasta. Zablokowano dojazd do rejonu Zemun – jednej z kluczowych dzielnic Belgradu, przez którą przebiega bardzo ważny międzynarodowy szlak komunikacyjny. Podobne działania miały miejsce w Nowym Belgradzie, gdzie ustawiono barykady z kontenerów i gruzu. Blokady objęły też dwa mosty na Sawie, przez które przepuszczano jedynie karetki i pojazdy z małymi dziećmi. Protestujący przejęli również kontrolę nad węzłem komunikacyjnym Autokomanda – głównym punktem wjazdowym do miasta od strony wschodniej. To właśnie tam, w styczniu tego roku, studenci przeprowadzili swoją pierwszą 24-godzinną blokadę.

Protestujący zebrali się wieczorem przed główną siedzibą prokuratury, domagając się natychmiastowego uwolnienia wszystkich aresztowanych uczestników protestu. W tłumie rozbrzmiewały okrzyki: „Aresztujcie Vučića!” i „Wypuście ich wszystkich!”.

Vučićz odpowiedział w typowy dla siebie sposób – lekceważeniem protestów i masową autopromocją. Odmówił spełnienia żądań protestujących i wieczorem osobiście pojawił się w parku Pionierów, gdzie przebywała grupa złożona z przedstawicieli młodzieżówki i zwolenników jego partii – Serbskiej Partii Postępowej. Tam ogłosił, że to oni są prawdziwymi zwycięzcami, a protestujący to „chuligani opłacani przez zagranicę”. „Serbia wygrała. Nie pokonacie jej przemocą” – powiedział do kamer.

Według organizatorów, na proteście 28 czerwca w Belgradzie obecnych było 150 tysięcy osób. Dla porównania – poprzednia duża mobilizacja z 15 marca zgromadziła od 300 do 500 tysięcy uczestników. Do największych manifestacji 29 czerwca doszło w Nišu, Kragujevacu, Nowym Sadzie i Čačaku – wszędzie tam domagano się spełnienia postulatów studentów: przedterminowych wyborów i pociągnięcia do odpowiedzialności winnych tragedii z Nowego Sadu.

Protesty w Serbii z ostatniego weekendu, które są ewidentną

kontynuacją tego co obserwowaliśmy na początku bieżącego roku, to masowy wyraz ogólnospołecznego niezadowolenia. To spontaniczna akcja obywatelskiego sprzeciwu, w której główną rolę odgrywa pokolenie ludzi, którzy nie chcą już słyszeć o „stabilności” i „patriotyzmie”, i szczerze nienawidzą skorumpowanego kartelu Vučića.

W tym kontekście zwłaszcza nie radzę wsłuchiwać się w neurotyczne wrzaski „zawodowych antyimperialistów” czy samozwańczych „speców od geopolityki” z Telegrama, którzy niemal każdy proces historyczny, polityczny i społeczny tłumaczą wyłącznie sprawstwem kierowniczym CIA. To co dzieje się w Serbii, to nie jest żadna kolorowa rewolucja. Nie da się oczywiście wykluczyć, że ta mobilizacja (jak każda) może zostać w pewnej chwili przejęta, bo wszak nie brak przypadków przechwytywania protestów przez liberalne mafie pozarządowe czy proatlantyckie „inicjatywy obywatelskie”. Takie starania były, są i będą podejmowane, także w Serbii. Tyle że, póki co przynajmniej, są nieskuteczne. Dominującą oprawą estetyczną demonstracji są serbskie flagi, prawosławne ikony, hasła odwołujące się do odpowiedzialności za państwo (a nie dykteryjki o demokracji) i katastrofy w Nowym Sadzie. Nie ma unijnych czy tęczowych sztandarów, nie ma ukraińskich flag – jedna osoba, która się pojawiła na protestach z żółto-niebieskim sztandarem kilka miesięcy temu, została wygwizdana i wyproszona z tłumu. Dlatego, że to nie jest Majdan, to jest Vidovdan.

To nie kolorowa rewolucja

Co więcej – i to również jest kluczowe – żądania protestujących nie mają nic wspólnego z próbą reorientacji geopolitycznej Serbii. Nie ma tam postulatów o przystąpieniu do UE czy NATO, nikt nie rozprawia o Putinie. Jest za to konkret: rozliczyć odpowiedzialnych za zawalenie się wiaty/stropu na stacji kolejowej w Nowym Sadzie, oczyścić z zarzutów studentów, którzy wyszli na ulicę podczas poprzedniej

fali, podnieść finansowanie dla uczelni i zakończyć policyjne represje. Który z tych elementów wskazywać by miał na próbę przeprowadzenia euroatlantyckiego puczu? Ten bunt to efekt kolektywnego zmęczenia oczywistą stagnacją, powszechną bylejakością, bezradnością i poczuciem beznadziei. Tu nie ma żadnej widocznej inspiracji, a co dopiero, porównywalnego z polskim, zachwytu Zachodem.

Nie ma też żadnych realnych przesłanek, by sugerować, że ten ruch został zorganizowany przez zewnętrznych graczy. Dość powiedzieć, że ewidentnie brakuje struktury i skutecznej koordynacji, nie ma strategii, nie mówiąc już o krótkoterminowych celach jak np. okupacja jakiejś instytucji. Nie ma tu żadnej logiki kolorowej rewolucji. Jest za to masowa frustracja, złość i potrzeba pilnej zmiany.

Nawet jeśli nie mamy pewności – a może właśnie dlatego, że jej nie mamy – w jakim kierunku zmierzała będzie ta mobilizacja, nie możemy jej automatycznie dyskwalifikować. Nie możemy zakładać, tylko dlatego, iż obecne władze w Belgradzie, sprawiają wrażenie jakby balansowały między geopolitycznymi biegunami, każda forma sprzeciwu wobec nich to zamach na suwerenność państwa. To podejście jest nie tylko błędne analitycznie, ale też głęboko szkodliwe politycznie i moralnie. Tym bardziej że protestujący, o czym już wcześniej wspomniałem, nie domagają się żadnej zmiany kursu międzynarodowego – chcą rozliczeń, odpowiedzialności, końca gangsteryzacji życia publicznego. I nawet jeśli nie da się dziś jednoznacznie jaki będzie polityczny efekt końcowy tego buntu, to nie jest to powód, by odmawiać mu autentyczności i legitymacji.

Bardzo podobna sytuacja miała miejsce w Bułgarii w 2019 roku. Wtedy także doszło do masowej mobilizacji ponad podziałami, która zjednoczyła wielkomiejskich liberałów, nacjonalistów, socjalistów/komunistów, jak i wielu niezorientowanych obywateli przeciwko rządowi Bojko Borisowa – rządowi, które było synonimem obłędnej korupcji i patologii władzy; przy czym sam

Borisow także promował się jako „stabilizator” i „patriota”. Owszem, ten protest ostatecznie doprowadził do skutków odwrotnych do zamierzonych, a na miejsce ancien regime’u przyszło coś równie, a może i bardziej szkodliwego, ale to nie unieważnia samego protestu. To, że zabrakło programu, liderów, odpowiedzialnych struktur politycznych zdolnych do zorganizowania uwolnionej energii i pokierowania nią – to był dramat tej mobilizacji, a nie jej kompromitacja.

Tak samo może oczywiście stać się w Serbii, ale wcale nie musi. Ten ruch ma wszelkie szanse doprowadzić do upadku obecnego, głęboko patologicznego układu władzy i powiedzmy sobie szczerze, że nie wiemy komu utoruje drogę do przejęcia politycznego kierownictwa. Znów jednak podkreślam – to nie znaczy, że właściwą postawą jest wynikająca z lęku powściągliwość, asekuranctwo i moralna kapitulacja.

Czy Serbowie, w imię ochrony naszej antyimperialistycznej wrażliwości mają wiecznie znosić bezkarność władzy i co średnio 10 lat obniżać swoje oczekiwania wobec życia? Tylko dlatego, że alternatywa może nie być idealna?

A jeżeli ten protest faktycznie jest kolorową rewolucją, to jest to najbardziej dziwaczna kolorowa rewolucja w historii, zorganizowana bez scenariusza, bez strategii, bez finansowania, bez kadr i bez planu. Albo więc mamy do czynienia z niepojętym majstersztykiem amerykańskich służb, albo – co bardziej prawdopodobne – z autentycznym, chaotycznym, desperackim (od)ruchem społecznym. A to oznacza, że trzeba go traktować (i analizować) serio, a nie tylko bawić się w geopolitycznego detektywa tropiącego sorosowe sieci powiązań.

Poza tym, trzeba też powiedzieć jasno: w tej mobilizacji, jakkolwiek imponująca by się wydawała, istnieją także elementy potencjalnie niebezpieczne, które wrosły bodaj na stałe w jej dynamikę.

Niezależnie od tego, że nie ma żadnych przesłanek, by uznać to za kolejną kolorową rewolucję, a tropienie Sorosa w każdym gwizdku czy transparentach z ikonami świętych graniczy z paranoją, to jednak nie znaczy, że wszystko, co dzieje się na serbskich ulicach, zasługuje wyłącznie na polityczny poklask. Brak jasnego celu, brak struktur oraz wysoki poziom emocji, niepewności i ideologicznej dezorientacji – to są realne ryzyka, które mogą ten ruch pogrzebać lub uczynić z niego kolejne narzędzie realizacji imperialistycznego interesu.

Ryzyka protestu

W tym kontekście warto uważnie przyjrzeć się także głosom, które pojawiają się po drugiej stronie barykady. Zwłaszcza, że i tam nie brakuje ludzi inteligentnych, zdolnych do racjonalnej argumentacji, a przede wszystkim do przekonywającego krytycznego oglądu przeciwników obecnego prezydenta Serbii i jego rządu. Jednym z ciekawszych przykładów takiej analizy jest wyjątkowy esej Zorana Čiriakovića, opublikowany jeszcze w lutym tego roku (podczas wcześniejszej fali protestów) na łamach pisma Politika, pod tytułem „Naprzód, ku merytokraticznemu feudalizmowi”. Čiriaković to postać znana: konserwatywny, umiarkowane prorrządowy komentator życia publicznego, którego z pewnością trudno byłoby oskarżyć o lojalizm wobec Vučića; z reguły wspiera obecny establishment i nie ukrywa swojej niechęci wobec liberalnej opozycji.

Jego główna teza jest wyraźna: protesty w Serbii – a zwłaszcza ich „nowe pokolenie” – kompletnie zatraciły zdolność do politycznej refleksji, w ogóle nie rozumieją na czym polega polityka i władza. Pierwszą mylą z kryminałem, drugą z prymitywną dominacją. Próżnię po politycznym myśleniu zaczął wypełniać „antyintelektualizm” i „emocjonalna ortodoksja”.

„Ulice bynajmniej nie są dziś pełne ludzi, którzy myślą politycznie. Są za to pełne tłumów, obnoszących się chętnie ze

swoim moralnym oburzeniem i to z reguły w skrajny, niesmaczny, nieznośny wręcz sposób” – pisze Čiriaković. To jest według niego (i trudno się z nim doprawdy nie zgodzić) symptom kryzysu epoki nowoczesności, która w swej obecnej fazie atrofii wszelką „polityczność” zastępuje różnego typu fundamentalizmami, w tym „bezrozumną etyką absolutną”, nieznającą pojęcia kompromisu, o obsesyjnej dynamice, a przez to podatną na manipulacje i syntetyczne eskalacje. Protestujący, według niego, nie chcą politycznego zwycięstwa, lecz żądają jakiejś nieokreślonej formy uznania ich racji jako bezsprzecznie nadrzędne, nie poszukują też sprawczości czy narzędzi zdobycia władzy. Pragną jedynie nieokreślonej czystości, której standardy, tak należy logicznie założyć, będą mogli jakimś domyślnym prawem potęgi własnej racji, nadzorować.

Čiriaković zwraca również uwagę na upadek kwestii przywództwa w Serbii. I to zarówno po stronie rządzących, jak i wśród protestujących. Elita – jego zdaniem – obsadzona jest przez ludzi bez jakiegokolwiek mandatu czy autorytetu intelektualnego i moralnego, a opozycja uliczna nie jest w stanie wyłonić żadnych liderów, którzy mieliby do zaproponowania nie tylko gniew, ale też koncepcję pozytywną. „Merytokratyczny feudalizm”, o którym pisze, to system, w którym pozycję zdobywa się nie przez społeczne zaufanie, postulaty, idee czy program, ale przez oportunizm i umiejętność przetrwania w strukturach klientelistycznych.

To nie tylko zestaw spostrzeżeń, to diagnoza,

Wśród zarzutów pojawia się także „kult siły i radykalizmu”, który wśród protestujących przejawia się niekiedy w formach „quasi-religijnych”. Čiriaković pisze też o „sakralizacji ulicy”, która przestaje być przestrzenią sporu politycznego, a staje się rodzajem świątyni, gdzie nie dopuszcza się wątpliwości, a każdy, najmniejszy głos krytyczny z wewnątrz traktowany jest jak herezja wymagająca natychmiastowej ekskomuniki.

Wreszcie – i to bodaj najbardziej gorzka obserwacja – Čiriaković ostrzega przed „symulakrami oporu”, które tylko wyglądają jak bunt, a w rzeczywistości wpisują się w logikę systemu. „Ruchy, które nie chcą wziąć odpowiedzialności za proces wewnątrzpolityczny, ale domagają się moralnego uznania, kończą zawsze jako dekoracja reżimu, przeciwko któremu się spektakularnie oburzają” – konstatuje.

I choć krytyka ta pisana jest z pozycji „prowucziciowych” to trudno odmówić tej argumentacji wartości. Albo ten masowy sprzeciw obywatelski znajdzie w sobie potencjał, by się zorganizować, ustalić tożsamość, wizję i strategię, albo utonie – nie w żadnym geopolitycznym spisku, ale w otchłani politycznej nijakości i miernoty, która zagwarantuje systemowi dalsze trwanie.

Autorstwo: Bojan Stanisławski

Źródło: Strajk.eu